

MELISSA DARWOOD

(Nie) zdobyta

Copyright © Melissa Darwood
All rights reserved
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Iga Wiśniewska
Korekta:
Anna Rochatka
Magdalena Zięba Stępnik
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Konsultacja merytoryczna z zakresu wspinaczki:
Jakub Skibski oraz J.M.
Projekt okładki:
Melissa Darwood
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek
Zdjęcie autorki na okładce:
Piechocka Kasia Fotografia

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-177-0

MELISSA DARWOOD

(NIE)ZDOBYTA

TOM I

OŚWIĘCIM 2019

Główni bohaterowie książki, jak i zawarta w niej historia, to fikcja literacka, choć niektóre fakty i postacie nawiązują do rzeczywistości. Zbieżność zdarzeń i osób przedstawionych w powieści jest przypadkowa.



Drga mi powieka. Jestem mocno wkurzona, ale staram się trzymać nerwy na wodzy.

– Jakie masz propozycje? – pytam Lidki, czterdziesto-dziewięcioletniej naczelnej redaktor, która jest moją szefową od pięciu lat. Pięciu lat ciągłego zaciskania pasa, odmawiania sobie zagranicznych wczasów (na które i tak nigdy nie jeździłam), nowych ciuchów (których i tak nigdy nie kupowałam) i markowych kosmetyków (których i tak nigdy nie używałam). Po to tylko, żeby udowodnić sobie i wszystkim wokół, że z dziennikarstwa da się w Polsce utrzymać. Że mogę być dziennikarką. Że jestem pieprzoną dziennikarką!

A skoro nie stać mnie na wakacyjny wyjazd w tym roku, zawsze mogę nawalić się winem tak skutecznie, że nie będę wiedziała gdzie jestem. Możliwe, że skorzystam z tej oferty nawet już dzisiaj wieczorem: ubzdryngolę się na kanapie z nucącym Zaynem w tle.

– Może napiszesz jakiś felieton o niedostępnych mężczyznach? Coś bardziej pozytywnego niż dotychczas? – Lidka patrzy mi prosto w oczy. – Masz lekkie pióro, tylko jakoś zawsze zagłębiasz się w psychodeliczny szlam, którym tylko odstraszasz czytelniczki. Twoje artykuły są zbyt smutne, za poważne, nader filozoficzne. Współczesne trzydziestki i czterdziestki pragną marzyć, ekscytować się czymś nadzwyczajnym. Temat musi być chwytliwy. Na topie. Zrozum, Julio, te kobiety wracają padnięte po robocie, ogarną dom, dzieciaki, zrobią sobie herbatę i mają ochotę zanu-

rzyć się w lekturze, która zrekompensuje im trudy dnia. Nie chcą czytać o globalnym ociepleniu ani o polskiej patologii wspieranej przez pięćset plus. Wiesz, że możesz na mnie liczyć. Cenię twoje felietony, artykuły, wywiady, ich głębię, podwójne dno i tę niezwykłość, której tak brakuje innym. Ale prawda jest taka, że to się po prostu nie sprzedaje. Widziałas ostatni raport. Walczymy o każdy procent rynku. Drukowane magazyny przestają się sprzedawać. Internet jest pełen tekstów o modzie, show-biznesie, seksie. Celebryci są obecni w mediach społecznościowych, nie potrzebują kolorowego pisma, by obnażyć się przed fanami, od tego mają Instagrama. – Wzdycha i poprawia okulary na nosie. – Nie wiem, czy damy radę utrzymać aktualny stan zatrudnienia przy obecnej sprzedaży.

Czuję guł w gardle. Upijam łyk kawy, choć zamiast niej przydałaby mi się teraz wódka z Xanaxem. Nigdy nie próbowałam takiej mieszanki, ale myślę, że taki koktajl mógłby mnie teraz skutecznie zobojętnić.

Lidka najwyraźniej dostrzega moją minę, bo od razu dodaje:

– Nie łam się. Tak po prostu jest w tym biznesie. Wierzę, że w końcu się odbijesz. Musisz tylko zmienić tematykę, stworzyć coś leższego, coś dla szerszego grona odbiorców...

Jasne, innymi słowami – mam napisać gniota. Jak śpiewa Karolina Czarnecka: „prosto, szybko, sprawnie, szast – produkt musi być dla mas”. Mam ochotę zacząć walić głową w kawiarniany stolik, przy którym siedzimy. I nawet jeśli dostałabym od tego wstrząśnienia mózgu, to przynajmniej zakończyłabym tę żenującą rozmowę z przytupem.

Chce mi się wyc. Pięć lat studiów dziennikarskich; batalie z matką wariatką, która twierdzi, że marnuję życie na bezsensowną bazgraninę; staż w gazecie, gdzie wysługiwał

się mną jak służącą – przynieś, wynieś, pozamiataj – wielki pan redaktor przekonany o swym ponadprzeciętnym jestestwie; pisanie głupot o wypalaniu traw i wystawie storczyków w palmiarni w zamian za wierszówkę, z której nie byłam w stanie opłacić rachunków i czynszu w kawalerce. Oprócz tego ciągle udzielanie się non-profit na portalach internetowych, w lokalnych oraz branżowych gazetach, żeby doskonalić pióro, zostać zauważoną.

Bycie pełnoetatowym dziennikarzem to ciężka praca, jeśli nie ma się znajomości. Ja ich nie miałam, ale miałam za to wielkie szczęście, że taka osoba jak Lidka objęła funkcję naczelną w redakcji, w której pracowałam i dostrzegła moje teksty. Wzięła mnie pod swoje skrzydła i uwierzyła, że to, co piszę, jest ważne. Przeszłam tak długą drogę, żeby pisać wreszcie to, na co miałam ochotę, co mnie poruszało, a teraz mam upaść tak nisko, by klepać artykuły na poziomie Pudelka.

– Lidka. – Poprawiam się na krzeselku. – Jedni piszą w konwencji: *„życie jest piękne i pachnie lawendą”*, po czym wrzucają fotkę uśmiechniętych celebrytów. Ja piszę w nurcie *„życie jest do dupy i śmierdzi łajnem”*, po czym daję wywiad ze zgwalconą dziewczyną. Nie wierzę, że nie ma ludzi, którzy nie podzielają mojego zdania, którzy nie chcą czytać o sprawach ważnych.

– Są, ale jest ich zbyt mało, żeby dalsze publikowanie twoich artykułów się opłacało – mówi wprost, pochyła się i zaplata dłonie na stoliku. – Julio, stoję pod ścianą. Sama wiesz, jaki jest rynek. Codziennie dostajemy dwanaście propozycji artykułów od ludzi, którzy chcą u nas pisać. Niektórzy są gotowi oddać tekst za darmo, żeby zaistnieć, spełnić swoje marzenie o publikacji, wpisać doświadczenie dziennikarskie do cefalki. Zarząd mnie naciska, sprzedaż musi się

zwiększyć. Nieistotne jest przesłanie, nieważny język, styl. Walczymy o przetrwanie. Pismo ma się sprzedawać, to produkt jak każdy inny. Jeśli nie opublikujemy bomby, czeka nas katastrofa. Utrzymujemy się z reklam, a jeśli te nie będą docierać do szerokiego grona odbiorców, to nikt nie będzie chciał się u nas reklamować. Zbankrutujemy.

– Chyba że zostaną zamordowana podczas zbierania materiału dla was. Wtedy sprzedaż na pewno podskoczy. Jeśli, rzecz jasna, sprawnie to nagłośnicie – żartuję, bo co mi innego pozostało.

– Niektórym naszym redaktorom z chęcią pomogłabym zyskać w ten sposób rozgłos. – Uśmiecha się. – Ale nie tobie. – Pochyla się jeszcze bliżej mnie, opierając piersi o blat. – Masz talent, lekkie pióro, dziennikarski nos i sprawny warsztat. W przeciwieństwie do większości dziennikarzy, których znam, jesteś pracowita, niezachłanna, nie masz wybujałego ego, a na głowie rodziny, dzięki czemu masz dużo czasu na pisanie. Świat stoi przed tobą otworem. Musimy jednak nakierować cię na właściwe tory... – Ścisza głos, jakby obawiała się, że ktoś nas podsłucha. – Teraz na topie są arabscy szejkwowie, celebryci, książęta, alpiniści... Poczytaj o nich trochę, może historia któregoś z nich cię zainspiruje. Rozeznaj się i daj mi znać, czy podejmiesz się napisania dla nas czegoś w tym obszarze, dobrze?

Jej pytanie zawisa w powietrzu, a ja jestem świadoma, że nie mam za dużego wyboru. Nisza albo mainstream. Wiem, że Lidka ma rację. Wiem, że „Mój Świat” sprzedaje się fatalnie. Wiem, że muszę zmienić tematykę, jeśli zamierzam utrzymać tę pracę. A chcę tu nadal pracować, jednak nie za wszelką cenę. Dam im to, czego potrzebują – dam im jakiegoś celebrytę, księcia czy innego supermena. Tylko że na moich warunkach. Nie zamierzam się sprzedać, zmieniać

swojego stylu, zapomnieć o rzeczach ważnych, o tym, dlaczego chciałam zostać dziennikarką. Pragnę mówić o tym, co mnie boli, porusza, wkurza i dzielić się tym z ludźmi. Znajdę osobę, która będzie odpowiadać Lidce, kogoś, kto mnie zafascynuje i komu czytelnicy oddadzą swoje serca.

– Okej, zrobię to. Ale po swojemu.

– Mam taką nadzieję. – Uśmiecha się. – Tylko wpleć w to jakiś romans, poświęcenie dla kobiety, zakazane uczucie, nieakceptowany związek, seks... Wiesz, o co chodzi. Najlepiej schodzą te wydania, w których miłość i sprawy łóżkowe grają pierwsze skrzypce. Czytałaś ostatni artykuł Anity o wielokrotnym orgazmie? To był hit.

Przewracam oczami.

Dobre rady o seksie, orgazmie, spełnieniu, których udzielają moje koleżanki po piórze w czasopismach dla kobiet, to bzdury. To karmienie nierealnymi fantazjami nieświadomych czytelniczek. Biedactwa po przeczytaniu artykułu takiej Anity są przekonane, że z ich życiem seksualnym musi być coś nie tak, że ich partner to cipa, skoro nie zaspokaja ich erotycznych potrzeb. Wiem, kim są dziennikarki, które piszą tego typu artykuły. Widzę je w pracy. To sfrustrowane singielki przeglądające zagraniczne magazyny w poszukiwaniu inspiracji, zaczytujące się w powieściach erotycznych dla kobiet, ekscytujące romansami z amerykańskich box office'ów, fantazjujące o idealnych facetach, którym zawsze stoi i którzy zawsze doprowadzają swoje kobiety do orgazmu pochwowego. Prawda jest taka, że istnienie tego typu mężczyzn to faktoid.

Mam trzydzieści dwa lata. Miałam czterech partnerów seksualnych i jedyne orgazmy jakich doświadczyłam w życiu, to te osiągnięte dzięki własnym palcom.

Nie wierzę w iskrzenie przy pierwszym spotkaniu, w chemię, wzajemne przyciąganie i zgodne dopasowanie po dwóch dniach znajomości. Moje serce jest na tyle mądre, by rozumieć, że mężczyzna spędzający więcej czasu w siłowni niż na czytaniu nie jest dla mnie odpowiednim partnerem. Nigdy nie doświadczyłam požądania, które mąci umysł i serce, sprawiając, że człowiek nie może jeść, spać, normalnie funkcjonować.

Bo to wszystko są wymysły kobiet, które pragną czegoś, co nie istnieje.

Moje dotychczasowe związki były letnie, żadnego żaru, ognia, porywu pożądania, zrywania z siebie ubrań, namiętności, ostrego seksu. Były po prostu życiowe. Nigdy nie czułam, że moi faceci o mnie zabiegają, nigdy nie miałam wrażenia, że jestem ich niezdobytą, o której marzą, śnią, o którą chcieliby zawalczyć. I tak się w sumie czasami czuję, jak niezdobytą kobieta (zwłaszcza kiedy za dużo wypiję; na trzeźwo myślę już realistycznie – po prostu wiem, że nie ma takich facetów o jakich pisze się w magazynach i książkach). Moi dotychczasowi partnerzy przypominali wyglądem bardziej Bolka i Lolka niż księcia na białym koniu. Nie przeszkadzało mi to, bo byłam przekonana, że mało atrakcyjny facet ma bogatsze wnętrze i nigdy mnie nie zdradzi.

Nic bardziej mylnego.

Z moim ostatnim eks (ówczesnym chłopakiem) snuliśmy plany o zamieszkaniu razem, co wbrew pozorom było i jest dla mnie ogromnym wyzwaniem i milowym krokiem naprzód. Chciałam mu zrobić niespodziankę z okazji drugiej rocznicy. Zjawiłam się pod jego blokiem o północy – w szpilkach, małej czarnej, seksownej bieliźnie i z Merlotem w ręku. Ale mój ówczesny chłopak (obecny były) miał już towarzystwo. Uprawiał seks w aucie na parkingu ze swoją koleżan-

ką z biura (miesiąc wcześniej miałam wątpliwą przyjemność poznać ją na jednej z ich firmowych imprez).

To było rok temu i stanowiło ostatni gwóźdź do trumny. Od tamtej pory nie wierzę już w partnerstwo, wzajemny szacunek, czułość. Nie wierzę w opiekuńczych mężczyzn, z którymi można prowadzić ciekawe rozmowy, znaleźć wspólne zainteresowania, spędzać przyjemnie czas i być dla nich tą jedyną. W trakcie trwania moich czterech (zdawałoby się poważnych) związków, łudziłam się, że moi mężczyźni są wyjątkowi, że czuję się przy nich bezpiecznie, spokojnie, pewnie. I nagle odwalą im palma – kłamali, oszukiwali, zdradzali, uciekali. Być może bali się zobowiązania, a może uświadamiali sobie, że jednak nie jestem tą jedyną. Tak czy siak, zawsze robili mnie w chuja.

Dziękuję, nigdy więcej. Zarządzam przerwę od jakichkolwiek związków. Seks na raz – tak. Na dwa, to mogę najwyżej zatańczyć disco sambę.



Już czwarty dzień szukam odpowiedniego materiału na wywiad. Z tematów zaproponowanych przez Lidkę najbardziej czuję chyba alpinistów, choć o himalaizmie wiem tyle co nic. Czytam artykuły z wypraw najwybitniejszych polskich wspinaczy. Trudno jest oszacować, który z nich jest najlepszy. Czy mam rozpatrywać ich pod kątem ilości wypraw, czy zdobytych szczytów? Ci, którzy są najbardziej uznani przez środowisko, są już na tyle popularni, że napisano o nich biografie, brali udział w reklamach, są ikoną i wzorem dla innych wspinaczy. A ja szukam świeżej krwi, kogoś, o kim nikt jeszcze nie słyszał, a kto skradnie serca czytelniczek.

Jestem pod wrażeniem osiągnięć zarówno tych, którzy nadal się wspinają, jak i tych, którzy już odeszli. Andrzej Bargiel – pierwszy człowiek, który zjechał na nartach z K2. Na nartach, z ośmiotysięcznika!; Piotr Pustelnik – zdobył szczyt Annapurna jako pięćdziesięciodziewięciolatek, był to czternasty ośmiotysięcznik, który udało mu się zdobyć, podczas gdy jego rówieśnicy mają problem, żeby przejść dziesięć kilometrów z kijkami; Adam Bielecki – zamiast gnić przed komputerem jak jego koledzy, w wieku siedemnastu lat samotnie wszedł w stylu alpejskim na Chan Tengri, stając się tym samym najmłodszym zdobywcą tego szczytu; Krzysztof Wielicki – z powodu braku sprzętu wspinaczkowego zdobył Mount Everest w okularach spawalniczych; Jerzy Kukuczka – zdobywca czternastu szczytów Korony Himalajów i Karakorum w przeciągu ośmiu

lat, imponujące i rzadko powtarzane osiągnięcie; Wanda Rutkiewicz – pierwsza kobieta na świecie i pierwsza Polka, która zdobyła K2; Wojciech Kurtyka – w przeciągu jednej doby zdobył dwa ośmiotysięczniki pod rząd – Czo Oju i Sziszapangmę...

Śledzę sylwetki kolejnych wspinaczy i nie mogę uwierzyć, że mieliśmy i nadal mamy w kraju tak niezwykle ludzi. I chociaż ich nazwiska obijały mi się wcześniej o uszy, to tak naprawdę nic o nich nie wiedziałam.

Czytam i niestety nie potrafię zrozumieć pobudek, dla których zaczęli się wspinać i robią to nadal. Skąd tak ogromne samozaparcie, chęć zdobywania kolejnych szczytów, ryzykowanie życia po to, by wejść na jakąś górę, która jest niczym więcej jak wypukłą formą ukształtowania terenu? Przecież taki szczyt to nie żaden koniec tęczy! Nie czeka tam gar ze złotem ani obietnica wiecznej młodości. Nie potrafię pojąć motywacji wspinaczy. Z jednej strony ich dokonania są dla mnie imponujące, wręcz niewiarygodne, z drugiej zaś najzwyczajniej w świecie nie rozumiem, jak można być tak zawziętym i lekkomyślnym równocześnie.

Śledzę statystyki zdobywanych ośmiotysięczników. Te w Himalajach pochłonęły do tej pory prawie osiemset istnień ludzkich, a i tak nie są to dokładne dane. Część ciał nigdy nie odnaleziono, niektóre udało się przetransportować, większość jednak leży pod śniegiem w wiecznej zmarzlinie. Mam ciarki na skórze, kiedy oglądam materiały prasowe z akcji ratunkowych. Tych ludzi nikt nie napadł, nie byli ofiarami nieszczęśliwego wypadku, nie dopadała ich nieuleczalna choroba, nie zabiła ich góra (choć zauważyłam, że takiego sformułowania często używa się w artykułach o wspinaniu).

Ci ludzie sami, z własnej woli, żądni wrażeń i osiągnięć oddali górą swoje życie. Doskonale wiedzieli, jakie ponoszą ryzyko. Byli świadomi tego, że mogą nie wrócić ze wspinaczki. I nie wrócili.

Tomasz Mackiewicz zmarł z wyczerpania w 2018 roku na Nanga Parbat. W chwili śmierci miał 43 lata, osierocił trójkę dzieci. Maciej Berbeka zaginął w 2013 roku w wieku 59 lat na Broad Peak. Zostawił żonę i czwórkę synów. Z tej samej wyprawy nie wrócił dwudziestoosmioletni Tomasz Kowalski...

Lista wspinających się Polaków, którzy zginęli w górach wysokich, sięga sześćdziesięciu osób. Wygląda na to, że najwięcej ofiar ma na swoim koncie Mount Everest.

Przeglądam zdjęcia z wypraw z ostatnich miesięcy na tę górę (którą zwą również Czomolungma) i włosy stają mi dęba: kolejka na szczyt! Dwustu pięćdziesięciu wspinaczy w ciągu jednego majowego, słonecznego dnia atakuje górę. Czegoś takiego się nie spodziewałam. Jeden za drugim, niczym mrówki, za pomocą przygotowanych wcześniej lin poręczowych wspinają się na zbocze Mount Everestu. Nie wiem, czy się śmiać, czy kręcić z dezaprobatą głową.

To, co widzę na zdjęciach i w materiałach wideo, sprawia, że postanawiam z marszu umówić się na spotkanie z Mateuszem Malcem, który jest organizatorem wypraw na najwyższą górę na ziemi, nazywaną dachem świata.



Nie pamiętam takiego maja. Jest dopiero dziesiąta, a termometry pokazują ze sto dwadzieścia siedem stopni w cieniu. Taka pogoda w mieście to istne piekło, choć jeśli miałabym wybierać, to zdecydowanie wolę takie upały od siarczystego mrozu.

Zakładam okulary przeciwsłoneczne, zwiewną sukienkę na ramiączkach, słomkowy kapelusz, który kupiłam przedwczoraj za trzy złote w grzebołu, i wychodzę z zacienionej bramy podwórka na skąpany w słońcu chodnik.

Cenię sobie wiele aspektów bycia dziennikarką, a elastyczny czas pracy jest niezaprzeczalnie jednym z największych atutów. Mogę pisać nocami, nie muszę wstawać skoro świt. Nie jestem rannym ptaszkiem, moje komórki mózgowie odżywają dopiero koło południa po wypiciu kawy. Dlatego trzymam się wciąż mojej posady, choć dostaję pensję zbliżoną do minimalnej krajowej, która wystarcza naprawdę na niewiele. Ciuchy kupuję w lumpeksie, czasopisma i książki na wyprzedazach, na obiad jem często makaron posypany białym serem i cynamonem (który jako danie zapamiętałam jeszcze z czasów szkoły podstawowej) albo ziemniaki z koperkiem i kefirem (które z kolei przypominają mi wakacje u babci na wsi).

Na spotkanie z Mateuszem Malcem jadę dwie godziny PKS-em. Mam sporo czasu, żeby przejrzeć przygotowane pytania, przeczytać wpisy na jego blogu.

Na dworzec docieram punkt dwunasta. Drogę do kawiarni, w której mamy się spotkać, postanawiam pokonać

pieszo. To jakieś dwa kilometry. Niby mogłabym wziąć taksówkę na koszt redakcji, ale Lidka ostatnio niechętnie akceptuje jakiegokolwiek koszty. Wolę nie nadwyręzać budżetu, bo być może pieniądze przydadzą mi się później na istotniejsze sprawy. Spacer dobrze mi robi, lubię piesze wycieczki.

Gdy tylko wchodzę do klimatyzowanego, przeszklonego pomieszczenia, zdejmuję okulary przeciwsłoneczne i dostrzegam przy stoliku mojego przyszłego rozmówcę. Mateusz to typ mężczyzny, od którego na żywo bije jeszcze większa pewność siebie niż na pozowanych zdjęciach na Instagramie. Widać to po tym, w jaki sposób siedzi, jak przegląda coś na telefonie, jak jest ubrany. Wygląda na takiego, który ma powodzenie u kobiet – jest zadbany, atrakcyjny, o jasnych włosach (grzywkę opadającą na czoło poprawia średnio co dziesięć sekund). Facet zupełnie nie jest w moim typie i zastanawiam się, czy w ogóle znajdę z nim wspólny język. Na pierwszy rzut oka można by go wziąć za celebrytę, który lubi robić wokół siebie szum. Ale że nigdy nie oceniam książki po okładce, postanawiam wyzbyć się tego wrażenia i nastawić się pozytywnie do rozmowy. Sięgam po notes i długopis, żeby nie grzebać przy Mateuszu w przepastnej torbie, w której noszę więcej rzeczy niż naprawdę potrzebuję. Torba przypomina wór bez kieszeni, w którym tampony walają się w beładzie razem z portfelem, gumami do żucia, pomadką do ust, kanapką (którą zrobiłam na podróż), butelką wody mineralnej, kluczami, starymi paragonami, zużytymi biletami na tramwaj, perfumami, pudrem w kamieniu, grzebie-niem, telefonem, czytnikiem, portmonetką z lekami na aler-gię, kalendarzem (bo zwyczajnie nie potrafię korzystać z tego w komórce)... W sumie jest tam jeszcze z tuzin rzeczy, więc szukanie notesu i długopisu trochę mi zajmuje.

W końcu podchodzę do stolika, gotowa na spotkanie.

– Dzień dobry. Pan Mateusz, zgadza się? – Kładę notes i długopis na blacie.

Malec podnosi na mnie piwne oczy znad telefonu. Na jego twarzy pojawia się uśmiech.

– Dla kogo mam napisać dedykację? – Sięga po mój notatnik.

– Słucham?

– Twoje imię. – Kartkuje zeszyt, pstrykając długopisem.

– Gdzie mam się wpisać?

Parskam śmiechem. Wydaje mu się, że jestem jego fanką. Zabieram notes i długopis z jego dłoni, po czym siadam naprzeciwko.

Patrzy na mnie zdeorientowany.

– Nazywam się Julia Kabat, byliśmy umówieni. – Zdejmuję kapelusz i kładę go na krześle obok.

– A, jasne. – Nie jest wcale zażenowany swoim wcześniejszym zachowaniem. Wręcz przeciwnie, staje się jeszcze bardziej pewny siebie. – Napije się pani czegoś? Ja stawiam. – Szczerzy się od ucha do ucha.

– Nie trzeba. – Otwieram zeszyt. – Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać...

– Może przejdziemy na ty? – Wyciąga do mnie otwartą dłoń. – Wszyscy mówią do mnie Mati.

Patrzę przez moment na jego palce. Nie wiem czemu, ale wydawało mi się, że wspinacze nie mają takich wypiełgnowanych dłoni.

Trzymam się jednej kluczowej zasady podczas pracy z ludźmi – staram się zawsze zachować obiektywizm. Jeśli mam o kimś napisać artykuł, to nie przechodzę z nim na ty. Zwracanie się do siebie na pan i pani jest bardziej profesjonalne. Nie zamierzam łamać tej zasady i tym razem. Malec jest moim tematem, a nie kumplem.

– Julia, ale wolałabym, żebyśmy mówili sobie na pan i pani. – Ściskam jego dłoń. Jest miękka, gładka. Czuję ukłucie zawodu. Spodziewałam się twardej, szorstkiej skóry, na której odbiły się trudy wspinaczki. Zabieram rękę, bo ten powitalny gest trwa stanowczo za długo. – Tak jak panu pisałam, przygotowuję artykuł na temat alpinizmu. O pańskich wyczynach można się dużo dowiedzieć z sieci, pomyślałam więc, że będzie pan ciekawym źródłem informacji.

– Pytaj o co tylko chcesz. – Uśmiecha się szeroko i upija łyk kawy.

Najwyraźniej nie zrozumiał, że nie mam ochoty mówić mu po imieniu. Trudno, jakoś to zniosę.

Zerkam do notatek. Nie chcę od razu walić z grubej rury, choć aż mnie język świerzbi. Trzeba najpierw przełamać lody.

– To może zaczniemy od standardowego pytania: jak zaczęła się pańska przygoda ze wspinaniem?

– Ojciec zapisał mnie na obóz wspinaczkowy – odpowiada bez sekundy zastanowienia. – Miałem trzynaście lat, byłem bardzo ruchliwy, więc uznał, że to będzie dla mnie odpowiednie zajęcie. I miał rację.

– I co było potem?

– W następnym roku znów wyjechałem, potem ponownie i złapałem bakcyła. Później już każdy weekend, wakacje, ferie spędzałem w górach.

Zapisuję jego słowa w notesie, choć dokładnie to samo wyczytałam z jego strony internetowej. I mogę się założyć, że jest w stanie przewidzieć moje kolejne standardowe pytanie i odpowiedzieć na nie ładnie, składnie, perfekcyjnie, mdło.

Przechodzę do konkretów.

– Zdobył pan latem większość ośmiotysięczników. To spory wyczyn jak na kogoś tak młodego – zaczynam,

a on rozpiera się dumnie na krześle. Opiera prawą stopę na lewym kolanie, po czym kładzie dłonie na piszczelu zgiętej nogi. Luzak jak się patrzy. – Jestem ciekawa, skąd brał pan pieniądze na tego typu wyprawy. Pozwolenie na wspinaczkę to koszt około dziesięciu tysięcy dolarów, wynajęcie szpery¹ to jakieś pięć tysięcy, do tego sprzęt, ekwipunek, przelot, transport na miejscu... Uzbiera się z trzydzieści tysięcy dolarów.

Malec zbiera palcem niewidzialne okruchy ze stołu.

– Muszę przyznać, że miałem duże wsparcie w rodzinach. To oni finansowali moje wyprawy, dopóki nie zacząłem sam ich organizować. Później już biznes sam się kręcił. Promowałem swoje wyprawy, szukałem sponsorów, zdobywałem fanów...

– No właśnie... – Zerkam do notatek. – Od dwóch lat prowadzi pan firmę, która zajmuje się organizacją wypraw na Mount Everest. To dosyć ryzykowne zajęcie. Bierze pan odpowiedzialność za swoich klientów w ekstremalnych warunkach, które wielokrotnie nie są w żaden sposób od pana zależne.

– Staram się przygotować klientów jak najlepiej, zapewnić im odpowiednie warunki. Członkowie wyprawy realizują plan stopniowej aklimatyzacji, mam dla nich odpowiedni zapas tlenu, każdemu przydzielany jest tragarz...

Krzywię się.

– A co z doświadczeniem klientów we wspinaczkę wysokogórskiej?

– Każdy jakieś posiada – odpowiada, lecz bez przekonania.

¹ Szperza – tragarz (pomocnik) wysokogórski. Nazwa wywodzi się od plemienia Szerpów żyjącego w Himalajach. Obecnie używa się jej w stosunku do wszystkich pomocników, którzy biorą udział w wyprawach wysokogórskich. W Karakorum stosuje się określenie HAP (od *High Altitude Porter*).

– Jakieś... A może liczy się bardziej posiadanie odpowiednich środków finansowych? Taka wyprawa, z tego co pan pisze na swojej stronie, to koszt około stu pięćdziesięciu tysięcy złotych. Nie sądzi pan, że zdobywanie najwyższej góry świata powinno być wyzwaniem przeznaczonym nie dla tych, którzy mają pieniądze, a dla tych, którzy są odpowiednio przygotowani?

Mateusz zaciska zęby.

– Dla tych ludzi wyprawa jest wyzwaniem i są odpowiednio przygotowani – odpowiada.

– Mnie raczej przypomina to wycieczkę turystów na Kasprowy Wierch w klapkach. – Sięgam do notatek. – W tym roku udzielono trzystu osiemdziesięciu pozwoleń i to tylko od strony Nepalu. Tybet natomiast wydał sto czterdzieści dwa zezwolenia. Skoro każdy ze wspinaczy ma do pomocy tragarza wysokościowego, wygląda na to, że wiosną Mount Everest próbowało zdobyć tysiąc osób. Kiedy pojawiło się okno pogodowe, wszyscy zaatakowali szczyt. Wszyscy ci ludzie chcieli zdobyć górę w zaledwie kilka dni. Zginęło pięć osób. Czy nadal pan uważa, że organizowanie tego typu wypraw jest odpowiedzialne?

– Ci ludzie doskonale wiedzą, na co się decydują. – Na czole Malca pojawia się pulsująca żyłka.

– Podobno ostatnio zdarzył się przypadek kradzieży siedemdziesięciu trzech butli z tlenem, które przygotowano wcześniej w obozie trzecim dla klientów jednej z agencji. Myśli pan, że było to działanie konkurencji, którejś z firm organizujących wyprawę na Mount Everest? Postrzegacie siebie w kategorii zespołów rywalizujących o szczyt?

Nozdrza Mateusza falują, wbija we mnie piorunujące spojrzenie.

– Nikt z nikim nie rywalizuje – cedzi przez zęby.

– A jednak ktoś zabrał z obozu butle z tlenem, narażając klientów agencji na śmierć. Zastanawiam się więc, jaki jest sens tego typu wypraw, skoro przybrały formę chorych wyścigów? – pytam.

– Nie odpowiadam za zachowanie ludzi, którzy ukradli tamte butle. W przypadku moich wypraw nic podobnego nie miało nigdy miejsca. – Odchyła się na krześle, zakłada ręce na piersi, co jest dla mnie sygnałem, że muszę nieco zejść z tonu, jeśli chcę dalej z nim rozmawiać. Pytanie tylko, czy faktycznie nadal chcę o nim pisać artykuł? Czy kogoś takiego potrzebuję? Czy on jest osobą, której zamierzam poświęcić swój czas? Czy jestem w stanie napisać o jego sponsorowanych i komercyjnych wyprawach coś pozytywnego, co zachwyci moje czytelniczki?

Daję sobie chwilę, żeby nieco ochłonąć i zmienić temat. Przeglądam przygotowane wcześniej pytania i kątem oka widzę, jak Mateusz zerka na zegarek.

Przygryzam długopis.

– Dlaczego ludzie wydają tak ogromne pieniądze, żeby stać w kolejce na szczyt? To żaden sportowy wyczyn – zadaję kolejne pytanie, nieco łagodniejszym tonem.

– Dla moich klientów jest to życiowe wyzwanie, ponadprzeciętna atrakcja, osiągnięcie, którym mogą się pochwalić w swoim środowisku. Z której strony nie spojrzeć, Mount Everest to najwyższa góra świata. Widok ze szczytu jest wart zachodu: tego nie da się opisać ani sfilmować, to trzeba zobaczyć samemu na własne oczy. A przez to, że sprzęt i doświadczenie alpinistów z roku na roku są coraz lepsze, szlaki przetarte, a trasy wyznaczone, zdobycie góry jest coraz łatwiejsze. Klienci mają świadomość niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą wyprawa, moim zadaniem jest natomiast minimalizacja poniesionego ryzyka. Przed

każdą wyprawą sprawdzam zespół, jaki się formuje: ich kondycję fizyczną, doświadczenie we wspinaczce, analizuję ich aktualne wyniki badań...

Pozwalam mu mówić. Robię notatki, zadaję mu kolejne standardowe pytania.

– Jak to się stało, że jest pan taki rozpoznawalny?

Malec się uśmiecha, przechodzi do opowieści o własnych wyprawach, chwali się tym, jak osiągnął obecny status przewodnika wysokogórskiego:

– Zrobiłem licencję, promowałem się w sieci. W sumie zaczęło się od konta na Facebooku, potem doszedł Instagram. Miałem coraz więcej obserwatorów. Sponsorzy zapewniaли mi nie tylko sprzęt, lecz także wynagrodzenie, za które mogłem pokryć koszty podróży. A to zdarza się rzadko. W zamian robiłem dla nich dobrej jakości zdjęcia, chwaliłem ich sprzęt wspinaczkowy, pisałem o własnych osiągnięciach, kręciłem dronem filmy, które później były wykorzystywane przez sponsorów do promocji. Himalaizm to cholernie drogi sport.

– Czy to oznacza, że jeśli ktoś nie jest medialny, powinien pożegnać się ze zdobywaniem ośmiotysięczników?

– Na pewno powinien zapomnieć o sponsoringu, jeśli nie czuje się osobą publiczną, jeśli nie chce pisać o swoich dokonaniach, nie lubi mediów społecznościowych.

– Czyli jeśli nie zamierzasz się sprzedawać, to masz marne szanse na wyprawę?

– Jeśli nie masz własnej kasy i gardzisz sponsoringiem, zostają ci do zdobycia okoliczne pagórki. – Uśmiecha się, po czym upija łyk kawy.

– Czyli rozchodzi się o kasę. A bywają w waszym środowisku wspinacze, którzy zdobyli ośmiotysięczniki Himalajów i Karakorum własnym kosztem?

Malec prycha i przesuwa dłonią po włosach.

– Znajdzie się kilku.

– Na przykład? Są wśród nich jacyś Polacy?

– Na przykład JJ. Mówimy na niego Iceman. To szalony facet – odpowiada z kpiącą miną.

– Iceman? Jak ten gangster, który zabijał dla mafii?

– Nie... – Śmieje się. – Jak ten superbohater od Marvela, który ma zdolność manipulowania lodem i zimnem. Jeremi wyrusza na wyprawy z minimalnym budżetem, szybko się aklimatyzuje, ma gdzieś asekurację, nie korzysta z dodatkowego tlenu. Śmiejemy się, że jego płuca stanowią sześćdziesiąt procent objętości ciała. Cechuje go brawura, która prędzej czy później go zgubi. – Zakłada nogę na nogę. – Góry uczą pokory, JJ jej nie posiada. Skoro masz sceptyczne podejście do moich wypraw na Mount Everest, to każdą jedną wspinaczkę Jeremiego Jansona uznałabyś za szaleństwo.

Szybko zapisuję nazwisko w notatniku, a mój puls przyspiesza.

– Proszę powiedzieć mi o nim coś więcej.

– JJ to dziwak – stwierdza. – Na wszystkie wyprawy wyrusza solo, tylko z szerpami. Pamiętam, jak zdobył Broad Peak trawersami: północnym, środkowym i głównym. Schodząc ze szczytu, spadł z półki. Mimo otwartego złamania ręki, jakoś dotarł do naszego obozu. Ledwo żył, miał liczne odmrożenia, ale był przytomny. Kość miał na wierzchu, przebiła skórę ramienia. Mimo to rozmawiał z nami, a na jego twarzy nie odmalował się pojedynczy grymas bólu, tylko zmęczenie.

– Może był na prochach? Wziął morfinę, steryd albo coś innego?

– Nie mam pojęcia. Siedział z nami w namiocie dobre pięć godzin, bo kiepskie warunki pogodowe opóźniały

przybycie helikoptera. Przez cały ten czas Jeremi nic nie brał, nic nie wciągał, nie łykał. Wypił z nami gorącą herbatę, po czym opatrzył sobie ranę i nawet przy tym nie zmarszczył czoła, nawet nie pisnął. Zupełnie jakby nic nie czuł. Nigdy nie spotkałem takiego wspinacza jak on.

– A jednak uważa go pan za szaleńca.

– Bo nim jest. Obecnie każdy z nas marzy o tym, żeby zdobyć K2 zimą. Nazywamy ją „polską górą”, bo do tej pory stanęło na niej czterestu Polaków, ale nikt nie dokonał tego zimą. Czogori² w zimowej odsłonie jest niezdojbyta. Taka wyprawa to droga zabawa, to setki tysięcy złotych. Trzeba dobrać zespół, w którego skład wchodzi najbardziej doświadczeni zdobywcy ośmiotysięczników. Ekspedycja to dziesiątki kilogramów jedzenia, sprzętu, lin, zaopatrzenia niezbędnego do przetrwania przez trzy miesiące w bazie u stóp góry – od pierwszego do ostatniego dnia zimy. Do takiego przedsięwzięcia wspinacze przygotowują się latami, a marzą o nim często całe życie. Warto mieć sponsorów na pokrycie ogromnych kosztów, zgrany zespół, ludzi, z którymi spędza się dużo czasu w obozach, którym można zaufać na wypadek najgorszego. Zdobywanie ośmiotysięcznika to wysiłek zespołowy, ważne są nie tylko relacje ze wspinaczami, z którymi zdobywasz szczyt, lecz także z mediami i sponsorami. – Uśmiecha się pod nosem. – JJ zamierza z marną kasą i z pomocą kilku HAP'ów założyć bazę oraz kolejne obozy i zaatakować szczyt, co w zasadzie jest niewykonalne. Jego pomysł jest równie absurdalny, co przerażający. Janson to wariat. Wejście na K2 zimą, solo to już nie jest nawet projekt skrajnie ekstremalny, to istne szaleństwo. Nikt nie wszedł zimą sam na żaden ośmiotysięcznik. Czogori jest drugim najwyższym szczytem na ziemi, lecz najtrudniejszym do zdobycia.

² Czogori – inna nazwa K2.

Ostatnie słowa Mateusza sprawiają, że czuję się jak po zaciągnięciu marihuany. Zaczynają mrowić mnie palce, serce bije szybko. Wiercę się niecierpliwie na krześle, bo po raz pierwszy odkąd zaczęłam zagłębiać się w tematykę alpinizmu, czuję prawdziwe podekscytowanie.

I mam już stuprocentową pewność, że to nie o Mateuszu będę pisać artykuł. Muszę się koniecznie spotkać z Jeremim Jansonem.